

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego Nr. 21 m. 6.

Czynne od g. 12—2 oprócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 50 zł.

$\frac{1}{2}$ „ — 25 „

$\frac{1}{4}$ „ — 13 „

$\frac{1}{8}$ „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Bez wyjścia.

Dopiero niedawno trafił nam do rąk odpis memorjału, złożonego jeszcze w lutym przez przedstawicieli społeczeństwa litewskiego w Wilnie rządowi warszawskiemu. Memorjał ten zawiera dokładny i szczegółowy opis tych wszystkich braków i niedomagań kulturalnych, jakim ulega od dłuższego czasu ludność litewska w Rzeczypospolitej Polskiej, a które się znacznie wzmogły w ostatnich paru latach.

Memorjał zawiera cztery części. Pierwsza i najbardziej obszerna omawia stosunek władz administracyjnych do pracy kulturalnej i wogóle ludności litewskiej. Następna część jest zatytułowana: „Zarzuty stawiane Litwinom a rzeczywistość”. Dalej jest poddany krytyce istniejący stan rzeczy z punktu prawa i dobra powszechnego. Wreszcie część czwarta zawiera złożone z 14 punktów „Postulaty”, które autorzy proszą rząd centralny uwzględnić w pełni i w całości.

Sytuacja, w jakiej się znalazł element litewski w Rzeczypospolitej Polskiej, w ogólnych zarysach jest znana dostatecznie. Omawianie jej szczegółowe jest niemożliwe chociażby z braku miejsca, zresztą szereg przytoczonych w memorjale faktów wymagałby dokładnego sprawdzenia. Nie wiemy, jaki skutek wywołał złożony władzom centralnym, podpisany przez jedenastu przedstawicieli społeczeństwa litewskiego ów memorjał. Zasługuje jednakże na uwagę ustęp z niego, który zawiera obronę przeciw zarzutowi rzekomej nielojalności państwowej Litwinów.

„Czy rzeczywiście można powiedzieć,—czytamy w memorjale—że zorganizowane społeczeństwo litewskie jest względem Państwa Polskiego nielojalne? My, Litwini najmocniej jesteśmy przekonani, że to oskarżenie nie ma żadnej podstawy. Obowiązki wobec państwa są dwojakie: pozytywne, wymagające pewnych czynności na rzecz państwa i negatywne—

nakazujące się powstrzymać od czynów, godzących w dobro państwa. Ludność litewska dotychczas oba rodzaje obowiązków wiernie spełnia. Nie było żadnych wystąpień zbiorowych przeciw dobru państwa. Organizacje litewskie pracowały w ramach ustaw i statutów. Ścisła kontrola ich działalności, przeprowadzona w oddziałach i centralach, a także liczne rewizje u działaczy litewskich, nie dały żadnego materiału obciążającego. Nie można nawet twierdzić, że są liczne wykroczenia przeciwko państwu ze strony poszczególnych jednostek, gdyż na ogół ludność litewska jest spokojna i do roboty wywrotowej nieskora. To zgodnie stwierdzają nawet sami Polacy.

„Jeśli zaś chodzi o obowiązki pozytywne względem państwa, to społeczeństwo litewskie spełnia je najsumiennie: płaci podatki, służy w wojsku, ponosi różne ciężary samorządowe, brało czynny udział w subskrypcji pożyczki narodowej (np. T-wo Oświatowe „Rytas”, T-wo Dobroczyńności, gimnazja), okazuje szacunek dla władzy i t. d. Według naszego przekonania władze nie większy mają kłopot z ludnością litewską, o ile chodzi o spełnienie przez nią obowiązków obywatelskich, niż z ludnością czysto polską.

„Nam się zdaje, że zarzut nielegalności powstał nie wskutek naszych czynów nielojalnych, ale wskutek uprzedzenia władz do naszej pracy kulturalno-społecznej... Czy wyodrębnienie się ludności litewskiej od ludności polskiej lub białoruskiej należy poczytać za walkę z państwem? Sądzimy, że nie i że to nie może być słusznym zarzutem o nielojalność społeczeństwa litewskiego. Ono jest lojalne, ale pragnie nadal pozostać litewskim”.

Powyższe oświadczenie nie może być przyjęte ze sceptycyzmem. Istotnie państwowość polska nie miała do zwalczania tak wrogich wystąpień ze strony ludności litewskiej, jak np. ze strony ludności ukraińskiej. A jednak stosunek jej do tych dwóch narodowości

nie jest jednakowy. Ukraińcy cieszą się większą swobodą. Dość rozpowszechniona jest opinia, że różnica w traktowaniu ich wynika z odmiennej sytuacji Kowna i Kijowa. Być może, ale w takim razie Ukraińcy galicyjscy z pobudek egoistycznych nie powinni pragnąć uzyskania przez Kijów niepodległości, Litwini zaś wileńscy powinni cieszyć się, gdyby Kowno zagarnęły Niemcy. Do takich absurdów może doprowadzić rozumowanie, którem się tak często posługują krótkowzroczni nacjonalistyczni politycy. Niestety sytuacja jest bez wyjścia, dopóki takie właśnie rozumowanie jest panujące.

Generał i naprawiacze.

Kronika naszego szarego życia urozmaicona została pewną sensacją, wywołaną publicznymi wystąpieniami gen. Żeligowskiego, wymierzonymi w ustalony porządek rzeczy w tych dziedzinach społeczno-rolniczego życia, którym w całości lub w znacznej przewadze patronują t. zw. naprawiacze.

Rozpoczęło się to od Izby Rolniczej, po jej oparowaniu przez grupę osadniczą, ostatnio zaś rozszerzyło się na inną domenę tej grupy—na kółka rolnicze. Generał poddał krytyce celowość, skuteczność, a poniekąd i moralność tak zwanej pracy społecznej na wsi, która cieszyła się utartą opinią czegoś niemal doskonałego, przynajmniej od strony ideologicznej. Gen. Żeligowski ustosunkował się przeważnie negatywnie do metod i wyników tej pracy, prowadzonej od szeregu lat na wsi, szukając nowych dróg—i bądź co bądź wzbudził pewien ferment myślowy, pewne refleksje, które doprowadzić mogą do gruntownej rewizji niektórych ustalonych praktyk w dziedzinie szerzenia kultury i postępu na wsi.

Atrakcyjność i waga krytycznych wystąpień gen. Żeligowskiego nie wynika z tego jedynie, że jest on znawcą miejscowych wiejskich stosunków, lecz z tego, że może sobie pozwolić na mówienie

takich rzeczy, których nikt inny nie odważyłby się wypowiedzieć. Stary generał wystąpił energicznie, nie obwijając rzeczy w bawełnę, zaglądając do rozmaitych zakamarków wiejskich stosunków, krytykując to, co głosnej krytyce dotychczas nie podlegało.

Niema żadnych powodów przypuszczać, że gen. Żeligowski jest wyrazicielem jakiegoś prądu politycznego. Przeciwnie wydaje się, że gen. Żeligowski zabrał głos w tym wypadku samodzielnie, choć stał się pośrednio wyrazicielem odruchu tego środowiska wiejskiego, które ma już dosyć monopolistycznej supremacji naprawiaczy w życiu wiejskim. Bo wypowiedziane przez generała poglądy są wymierzone pośrednio, a nawet bezpośrednio w naprawiaczy, metody pracy których poddaje ostrej krytyce. W tej swojej wojnie gen. Żeligowski nie jest odosobniony. Przy nim stanęła przedewszystkiem zwarta grupa młodej inteligencji rolniczej i te elementy, które głosu nie śmiały mieć w regimie niepodzielnych naprawiaczkich stosunków. Charakterystycznym jest, że gen. Żeligowski ma za sobą prasę wileńską. W każdym razie „Słowo” i „Kurjer Wil.” w tym wypadku solidarnie i jak najbardziej przychylnie, a nawet gorliwie, stanęły po stronie generała—a przeciw naprawiaczom.

Pozycja naprawiaczy stała się dosyć trudna. Mieli zawsze za sobą dwa atuty: poparcie czynników miarodajnych i umiejętne reklamowanie nazewnątrz haseł radykalnych. Teraz z tem poparciem nie jest zupełnie wyraźnie, gdyż i akcja gen. Żeligowskiego też, zdaje się, została przyjęta przychylnie przez czynniki wyższe. Natomiast gorzej jest z radykalizmem i demokratyzmem naprawiaczkim, gdyż akurat gen. Żeligowski dosyć gruntownie ten radykalizm i demokratyzm swojemi wystąpieniami podważył. Co więcej, gen. Żeligowski, jeżeli chodzi o demokratyzm, właśnie staje się rzecznikiem niektórych, najbardziej prymitywnych zagadnień demokracji, które tuszowane są przez działaczy naprawy. Wprawdzie naprawiacze mają dobrze zorganizowane kadry, które dotychczas były im posłuszne, ale kto wie, jak tam dalej z tem posłuszeństwem będzie.

Tedy mamy swego rodzaju „wojnę”: genera contra naprawa. Nie wzbudzi ona z pewnością głębi

Ze wspomnień o Ferdynandzie Ruszczycu.

Znałem dwóch Ruszczyców — w jednej osobie. Pierwszy należał do tej przedwojennej generacji, która szczerze walczyła o „waszą i naszą wolność” i z tego stanowiska z niekłamaną sympatją spoglądała na budzenie się świadomości narodowej w inteligencji białoruskiej i w szerokich warstwach ludowych.

Drugi ciałem i duszą należał już do społeczeństwa powojennego, które, upojone triumfem z powodu zdobycia wolności dla siebie, zupełnie zapomniało o pierwszej części tak ongiś popularnej, a dziś tak grubo spaczanej w praktyce formułki...

Z tym drugim Ruszczycem stosunki moje ograniczały się do wymiany ukłonów przy spotkaniach na ulicy. Z pierwszym natomiast — przedwojennym Ruszczycem — miałem pewne wspólne przeżycia, o których zachowałem w duszy miłe wspomnienia.

W roku 1909 po raz pierwszy wypadło mi zetknąć się osobiście z tym wybitnym artystą ziemi naszej, który oddawna już interesował mnie przedzi-

wnem odczuciem ducha pejzażu białoruskiego i w swych mistrzowskich dziełach tak świetnie zobrazował nastroje tej ziemi (*Orka, W świat*).

W związku z debiutem na scenie wileńskiego teatru polskiego młodej artystki Heleny Jankowskiej, późniejszej żony znanego artysty dramatycznego Junoszy Stempowskiego, zmarłej przedwcześnie, urządził brat jej, a mój przyjaciel, Jerzy Jankowski, publicysta i poeta, bankiet w domu swoich rodziców. Zebrał się tu wileński świat dziennikarski i artystyczny; byłem i ja. Wiedziałem, że ma być i Ferdynand Ruszczyc, lecz nie znałem go przedtem nawet z wyglądu, a przy zaznajomieniu nazwiska nie dosłyszałem. Ale postać artysty, jego sokole spojrzenie, jego sposób mówienia — wszystko to przykuło do niego odrazu moją uwagę. Coś żywo opowiadał o swoich podróżach na linii Paryż — Petersburg, podczas których zawsze z wielkim zadowoleniem zawadzał o Wilno, budzące w nim stale entuzjazm. Kto to jest? — zapytałem dyskretnie gospodarza i dopiero od niego dowiedziałem się, że mam przed sobą Ruszczycę.

Bankiet upłynął dla mnie tem przyjemniej, że przy stole miałem Ruszczycę za sąsiada. Rozgadaliśmy się odrazu. Rozmowa toczyła się na tematy kra-

szej fali na cichej toni naszego wiejskiego życia, ale bądź co bądź poruszy lekkim dreszczem pożytecznej emocji.

Nie mamy powodu przejmować się głębiej akcją gen. Żeligowskiego, jednak trudno stawać w obronie naprawy, która za mocnymi plecami administracji na szlakach naszych wiosek, głosiła piękne hasła radykalizmu i demokracji — a wodę do ust nabierała wtedy, gdy naprawdę mogła i miała obowiązek stawać w obronie najbardziej istotnych potrzeb ludu tutejszego.

Kant.

Śmieszna zachłanność.

Od pewnego czasu czynniki, posiadające duży wpływ na życie krajowe, stosują osobliwą taktykę, mającą na celu udowodnić *wyłączną* polskość Wilna. Dotyczy to zarówno czasów dzisiejszych, jak i *dawno minionych*, kiedy to w stolicy państwa białorusko-litewskiego były jeszcze wpływy polskie bardzo słabe. Ignoruje się fakt, którego nikt z powyższych naukowców negować nie może, iż prastare mury cerkwi i kościołów wileńskich wznoszone były o wiele wcześniej, niż wpływy języka i kultury polskiej zaczęły się tu poważniej ujawniać, że przeto stanowią pamiątki kultury białorusko-litewskiej.

Prezydent miasta schował „pod sukno” wniosek Białoruskiego T-wa Naukowego, by jednej z ulic wileńskich nadane zostało imię pierwszego drukarza tutejszego, tłumacza Biblii na język białoruski, humanisty *białoruskiego*, d-ra Franciszka Skoryny. Zamilcza się okoliczność, zresztą powszechnie znaną, że w czasach nowszych Wilno było kolebką odrodzenia narodowego Litwinów i Białorusinów, że tu zaczęły wychodzić pierwsze czasopisma białoruskie i litewskie oraz powstały pierwsze ośrodki białoruskiej i litewskiej pracy kulturalno-oświatowej i polityczno-społecznej. W „Przewodnikach” polskich po Wilnie napróżno byśmy szukali wzmianki nawet o istnieniu tu T-wa

jowe. Ruszczyca potwierdził mi to, co już dawniej z jego obrazów sam wyczytałem: wielkie umiłowanie kraju i szczery sentyment do ludu białoruskiego, głębokie zainteresowanie pieśnią białoruską, poezją, zdobnictwem. Nic też dziwnego, że na tym gruncie nawiązała się między nami nić wzajemnej sympatii, która z biegiem czasu się wzmocniła.

Zaprosiłem Ruszczyca do redakcji „Naszej Niwy”, gdzie znalazł sporo ciekawych dla niego zabytków i dzieł sztuki ze zbiorów mego brata, które dziś przechowywane są w Muzeum Białoruskim im. Jana Łuckiewicza. Rewizytując artystę, poruszyłem w imieniu redakcji sprawę wykorzystania przez nią do karty tytułowej jakiegoś projektowanego wydawnictwa białoruskiego obrazu Ruszczyca „W świat”. Drogą wiejską, przecinającą zawiąną rolę, w mglisty, dżdżysty dzień suną dwie postacie ludzkie z węzłkami na plecach. Idą w świat — szukać „chleba i doli”, bo w ziemi rodzinnej nie mieli ani jednego, ani drugiej... Ruszczyca bez wahania udzielił mi pozwolenia na wykorzystanie jego obrazu i ofiarował heljograviurę z niego.

Pod heljograviurą był umieszczony wiersz Jana Kasprowicza w języku polskim, wyrażający w formie

Naukowego Litewskiego, Muzeum Białoruskiego im. Jana Łuckiewicza i t. p.

Wszystkie powyższe fakty przypomniały mi się w związku z faktem nowym, może w istocie swej niewiele znaczącym, lecz niezwykle symptomatycznym. W okresie od 18 do 25 kwietnia r. b. odbywał się w Wilnie „Tydzień Propagandy Muzeów”, zainicjowany przez „Związek Propagandy Turystycznej Ziemi Wileńskiej”. Inicjatywa nader chwalebna i najzupełniej na czasie. Zdaje mi się, że nie będzie przesadą, jeśli powiem, że Wilno wogóle nie zna swoich muzeów, a publiczność niewiele wie nawet o ich istnieniu.

Co prawda, rola „Z. P. T.”, poza inicjatywą i wydrukowaniem cdnośnych plakatów, w całej tej imprezie była nader ograniczona. A mogła być o wiele większa. Zaznaczyć jednak pragnę, że i w tak ograniczonym zakresie swej na rzecz „Tygodnia” pracy „Zw. Prop. Turystycznej” nie był wolny od grzechów. Grzechem takim przedewszystkiem jest fakt, który głęboko uraził społeczeństwo białoruskie. Oto bowiem na plakatach propagandowych podana została nazwa Muzeum Białoruskiego im. J. Łuckiewicza w formie grubo zniekształconej: *wyrzucono z niej prostoprostu słowo „Białoruskie”!*...

Fakt ten, który wywołał podobno ostry protest dyrekcji Muzeum Białoruskiego, przedziwnie harmonizuje z tem wszystkim, o czem na początku mówiłem. Rozumiem, że jest w tem pewna celowość, mająca na celu stwierdzenie *wyłącznie* polskiego charakteru prastarej stolicy W. Ks. Litewskiego. Lecz nie o *merytorycznej* stronie sprawy, dla ludzi zdolnych do myślenia samodzielnego i obiektywnego najzupełniej jasnej, będę tu mówił. Chodzi mi o to, że i z punktu widzenia *taktycznego* podobne postęпки są prostoprostu nonsensem: poza drażnieniem stosunków narodowościowych w naszym kraju, żadnych innych wyników dać nie mogą.

Bo jeśli chodzi o utajenie istnienia białoruskiej instytucji w Wilnie przed miejscową ludnością, to podanie zniekształconej w powyższy sposób nazwy muzeum osiąga swój cel tylko w stosunku do osób, które nie skorzystały z udogodnień „Tygodnia Pro-

poetyckiej myśli malarza. Wiersz ten został natychmiast przetłumaczony przez poetę białoruskiego Jankę Kupałę. (Oryginał przekładu i heljograviura złożone zostały do Muzeum Białoruskiego). Ciekawe, że Kupała później zapomniał, kto był autorem wiersza, i zamieścił tłumaczenie w jednym ze swych zbiorów, zaznaczając tę okoliczność.

Odtąd w ciągu paru lat najbliższych miałem szereg nader miłych spotkań z Ruszczycem.

Gdyśmy w r. 1910 przygotowywali do druku kalendarz białoruski, postanowiliśmy umieścić na okładce ciekawy wzór budownictwa białoruskiego w stylu ludowym — rysunek starej kapliczki drewnianej przy wejściu na mogiłę w Słucku. Fotografia niebardzo się nadawała. Zwróciłem się przeto o radę i pomoc do Ruszczyca. I tym razem jaknajchętniej spełnił moją prośbę: własnoręcznie opracował szkicowo rysunek kapliczki, ożywił obraz białymi obłokami, i w ten sposób powstała rzecz naprawdę artystyczna.

Po raz trzeci podobnej pomocy udzielił nam Ruszczyca, gdy się drukowała pierwsza w języku białoruskim „Historja Białorusi” Własta (Wacława Łastowskiego). Podany przez ś. p. Jana Łuckiewicza projekt wyzyskania do okładki okucia drzwi w za-

pagandy" i Muzeum Białoruskiego nie odwiedziły. Tysiące natomiast, które oglądały Muzeum, przekonały się naocznie, że ma ono narodowy charakter białoruski. Podobno też często padały pytania zwiedzających: czemu o Muzeum Białoruskiem tak mało wiadomo? Chybia celu podobne postępowanie i wówczas, jeśli chodzi o gości zagranicznych. Wiadomo bowiem, iż zagranicą Muzeum Białoruskie figuruje w wykazach muzeów, ogłaszanych zarówno przez Ligę Narodów, jak i przez prywatne wydawnictwa informacyjne o charakterze międzynarodowym („Minerwa" i inne).

Pozostaje więc jedynie tłum wileński—ten tłum, który nietylko muzeami, ale i żadnymi innymi sprawami kulturalnymi nie interesuje się. Najwidoczniej *niego tu tylko chodzi*: jemu to wpaja się fałszywe przeświadczenie, że w Wilnie niema Białorusinów, Piema Litwinów, a są tylko i wyłącznie Polacy. No—n nigdy nie było! POCO to się robi?

Przychodzi mi na myśl artykuł w „Kaziukowym" numerze „Kurjera Wileńskiego", poświęcony Miednikom. Autor z całą stanowczością dowodzi tam, że w XIV i XV stuleciach w Miednikach „znajdował się potężny zamek, jeden z pierwszych bastionów kultury i polskości na Litwie".

I to się pisze również dla bezkrytycznego tłumcu... Mimowoli przypomina się, w jaki sposób przedstawił tendencje pewnych historyków rosyjskich szeroko znany wśród starszego społeczeństwa kraju naszemu satyryk Bartels:

„Nam to z Tacyta, Liwjusza
I innych nie tajno jest wcale,
Że przed przyjściem Romulusa
W Rzymie byli już... Moskale".

Krajowiec.

Pierwsze symptomy.

Gdy w lasach podwileńskich stopnieją ostatnie śniegi, a Wilją spłyną wody wiosenne z terenów leżących u jej dalekiego źródła, zaczyna się w Wilnie okres jarmarków. Rozpoczyna go zwykle kiermasz

nasion i krzewów doniczkowych na św. Jerzego, rozkładający się na placu nieopodal kościoła pod temże wezwaniem.

Odbył się ten jarmark i w tym roku, ale jak?! Niepodejrzany całkiem o krajowość „Dziennik Wileński" zamieścił nazajutrz po kiermaszu art. „Jarmark św. Jerzego", w którym zastanawiając się nad dylematem: „Upadek tradycji, czy wzrost nędzy", pisze co następuje:

„Tegoroczny jarmark św. Jerzego wypadł *więcej niż skromnie*.

„Gdy w latach poprzednich jarmark nie mógł pomieścić się na placu przy ul. Orzeszkowej i rozlewał się daleko w głąb sąsiednich uliczek, obecnie skwerek okazał się za duży. Jedyny dział, który bodaj był reprezentowany w większym zakresie, to niezawodne obwarzanki, pierniki i serca oraz kwiaty doniczkowe, które łącznie z nasionami zajmowały mniej więcej 1/3 całego jarmarku. Ale tutaj rzadziej można było spotkać przekupnia, w większości sprzedawali je „okazyjnie" bezrobotni. Jedyną dodatnią cechą na tegorocznym jarmarku można było zaobserwować pod względem wyrobów glinianych. Wprawdzie było ich znacznie mniej, lecz jakościowo stały o całe niebo wyżej.

„Frekwencja kupujących była znikoma, ceny zaś—wygórowane.

„I jeszcze jedno: tegoroczny jarmark św. Jerzego był „niemy". Nie słyhać było ani piszczałek, trąbek, dzwonek, ani głosu przekupniów, zachwalających towary.

„Czem to tłumaczyć dziś, w dobie, gdy tyle się mówi o poprawie gospodarczej. A może tradycja upada?"

Jak rzadko, dziwnie szczerze to wyznanie organu ultranacjonalizmu wileńskiego stwierdza tylko sam fakt i wynikające zń zdumienie. Wskazania jednak istotnej przyczyny zjawiska nie znajdujemy. Że tradycja jarmarku świętojerskiego bynajmniej nie upada, świadczyć może jakże inny jego wygląd jeszcze w roku przeszłym i zaprzyszłym. W każdym razie nie tłumaczy to żalostnego w tym roku wyglądu naszego wiosennego kiermaszu. Nie zaważył też wzrost nędzy, który raczej napędza ludność do odprzedania w do-

krystji kościoła po-Bernardyńskiego z Pogonią został przez Ruszczyca opracowany i za jego radą odbity na czarnym papierze srebrną i złotą farbą.

W okresie owym dokoła osoby Ruszczyca gromadziły się żywsze jednostki ze świata artystycznego i publicystycznego, co prawda przeważnie nie związane pochodzeniem z naszym krajem. Zbierała się ta „Banda Artystyczna" u Rogowskich, Hertzów, Ruszczyca... Gorąco omawiano przy stole projekty ożywienia życia artystycznego i podniesienia kultury artystycznej Wilna. Tu powstał projekt wydania pokaźnego tomu „Zórawców", którego szata zewnętrzna dana była oczywiście przez Ruszczyca. Na treść literacką złożyły się artykuły i utwory poetyckie członków „Bandy". Zamieszczone też były rysunki Ruszczyca i Piotra Bohusza (Siostrzeńciewicz) oraz utwór muzyczny L. M. Rogowskiego „Erotyk".

„Banda Artystyczna" urządziła dość często wieczory, na które byłem zapraszany. Utkwił mi w pamięci jeden z takich wieczorów w mieszkaniu Ruszczyca, kiedy to po raz pierwszy na zaproszenie artysty byłem gościem „Bandy".

Ruszczyca mieszkał podówczas przy ul. Zarzecznej w domu Laskarysów, nad Wilejką. Było to, jeśli się nie mylę, wczesną wiosną. Rogowscy, z którymi żyliśmy najbliżej, zawiadomili mię, że goście, pragnąc zrobić Ruszczycowi niespodziankę, umówili się przyjść na ów wieczór w kostjumach stylowych. Oczywiście, musiałem i ja dostosować się do ogólnej decyzji i włożyć strój z czasów Ludwika XVI, łaskawie mi wypożyczony przez ówczesnego reżysera „Lutni". Przyszliśmy do Ruszczyca wszyscy jednocześnie, i mieszkanie gościnne gospodarza zaroilo się barwnym tłumem postaci z bliższej i dalszej przeszłości. Ruszczyca był tem mile zaskoczony i wpadł w doskonały humor. Pokaza mi swój słynny obraz „Nec mergitur", który się znajdował podówczas jeszcze u artysty. Przy stole suto zastawionym humory u wszystkich również były świetne. Dyskutowano bardzo gorąco. Stanisławska wystąpiła z zaimprovizowanym na oczekaniu wierszem, poświęconym gościom i charakteryzującym każdego z obecnych. A gdyśmy wstali od stołu i rozsypali się parami po ścieżkach urwistego ogrodu, spuszczające-

bie przednówka komuś przypadkowo zbędnej garści nasienia lub wyhodowanych przez rok miniony krzewów i kwiatów, których utrzymanie nic nie kosztuje największego nawet biedaka.

Nie, nie tu jest główna przyczyna tego. „Dziennik Wileński” nie zaznaczył piórem swego sprawozdawcy jednego tylko, a tak bardzo symptomatycznego dziś szczegółu, że po tegorocznym jarmarku przewijały się zaledwie liczone twarze żydowskie, Osoby, które z roku na rok spędzają długie godziny od rana do wieczora na kiermaszu, opowiadały, że naliczyły przez cały dzień wyraźnie *trzy* tylko postacie żydowskie, które błakały się tu wśród nasion i doniczek. Tymczasem w latach ubiegłych Żydzi stanowili jeszcze *gros* nabywców krzewów i kwiatów pokojowych.

Zjawisko powyższe to oczywiście nie rzecz przypadku lub skutek niepogody (w tym roku na św. Jerzy do południa padał deszcz rześisty), lecz wynik zupełnie zrozumiałej w tym wypadku konspiracji żydowskiej, zmierzającej do tego, by zbojkotować w drodze odwetu handel chrześcijański. Nie byłiby Żydzi społeczeństwem zorganizowanym, jeśliby nad gnębiącym ich coraz dotkliwiej antysemityzmem ekonomicznym przeszli do porządku dziennego. Więc te tak nie liczne jednostki semickie, które jednak świeciły oczami na kiermaszu tegorocznym, to mniej szanujący się Żydzi, na których interes lub okazja wywierają wpływ niepreparaty.

Nie na tem jednak koniec. Słyszymy oto, że zamierzony jest już bojkot przez Żydów uzdrowisk polskich, z wyjątkiem kilku, jak nasze Drusieniki, galicyjska Krynica i jeszcze paru. Jeśli bojkot będzie zastosowany konsekwentnie, w co, znając solidarność Żydów nie wątpimy, ciekawy będzie bilans jesienny, jaki zarządy uzdrowisk z jednej strony a ich mieszkańcy z drugiej poczynią, a jaki wymownie im dowiedzie, że również nie wolno lekceważyć udziału kuracjusza żydowskiego w bilansie kurortów. Kuracjusz jest przecież nabywcą i odbiorcą wielu rzeczy.

Kilka miesięcy temu „Dziennik Wileński” obwieszczał uroczyście, że dorożkarze, raczej dryndziarze wileńscy tak się uświadomili już narodowo, że zrywają raz na zawsze wszelki kontakt organizacyjny z żydow-

skimi kolegami po fachu, że zapadły prawie jedno-myślnie odnośne uchwały... Minęło atoli niewiele czasu od tej chwili, a już dziś zbojkotowany przez publiczność żydowską wileński dorożkarz chrześcijanin zaczyna się głośno uskarżać na ekonomiczne skutki bojkotu.

Tak wszelki bojkot wywołuje siłą rzeczy akcję odwetową. Zwycięży, oczywiście, siła, ale zanim zwycięstwo nastąpi, ucierpią najmniej winne „płatki”, wtedy gdy krwiożercze „rekiny” kapitalistyczne, obrzezane i nieobrzezane, zawsze potrafią się ukryć głęboko.

Sonderling.

Jedenasty rocznik „Ateneum Wileńskiego”.

Mimo wszystko, mimo trudności materialnych i słabego naogół ruchu wydawniczego w Wilnie, badania nad przeszłością naszego kraju znajdują swój wyraz w nowych pracach historycznych. Ośrodkiem tych badań — poza Uniwersytetem — staje się przedewszystkiem Towarzystwo Przyjaciół Nauk i jego organ „Ateneum Wileńskie”, czasopismo naukowe, poświęcone badaniom przeszłości ziem Wielkiego X. Litewskiego. Ostatni jedenasty rocznik „Ateneum” objętościowo przerasta wszystkie dotychczasowe tomy czasopisma, posiadając przeszło tysiąc stron druku.

Dorobek naukowy, składający się z rozmaitych artykułów o różnej wartości i rozmiarach jest pokazny. Żałować tylko należy, że nie wszystkie ważniejsze rozprawy wyszły z pod pióra Wilnian. Wszystkie jednakże dotyczą historii ziem b. Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Pokrótkie omówimy kilka najciekawszych rozpraw. W kolejności druku pierwsza jest praca Karola Maleczyńskiego p. t. „W sprawie autentyczności dokumentów Mendoga z lat 1253—1261”. Autor daje tu przegląd nadań Mendoga na rzecz zakonu niemieckiego, biskupa Krystjana i mieszczan ryskich i po szczegółowej analizie dochodzi do wniosku, że spośród 10 znanych zaledwie 6 stanowią autentyki.

go się ku rzece, dla patrzącego z balkonu Ruszczyca otworzył się naprawdę efektowny widok. Dekoracyjność obrazu zachwyciła Ruszczyca, który przecie był nieporównanym dekoratorem.

Kiedy w letnim teatrzyku ogrodu Bernardyńskiego Nuna Młodziejowska wystawiała „Lillę Wenedę”, Ruszczyca, jak wiadomo, dał swoje dekoracje do tej sztuki. Artysta pracował z ogromnym zapałem i entuzjazmem. Niejednokrotnie zaglądałem do teatru podczas malowania dekoracji, widziałem ich narodziny. Zaprosił też mnie Ruszczyca na pierwszą próbę z dekoracjami, które były malarsko świetne. Ruszczyca triumfował. Niestety nie zachowały się: po pewnym czasie spłonęły doszczętnie. Był to ciężki cios dla artysty.

Te spotkania i rozmowy, te wspólne przeżycia artystyczne, a przedewszystkiem zaznaczone już bezwarunkowo szczerze podówczas sympatje Ruszczyca do odrodzeniowego ruchu białoruskiego były podstawą do serdecznych moich z nim stosunków. Lecz wkrótce „Banda” zaczęła się „rozklejać”. Większość członków, złożona z przyjezdnych artystów, opuściła

nasze miasto. Zbiórki ustały. W osobistym życiu Ruszczyca zaszły zmiany. Tragiczna śmierć Marji Załuskiej, która brała udział w kierowanym przez Rogowskiego chórze białoruskim i z którą na tym gruncie spotykałem się, zmroziła u wielu Wilnian uczucia sympatii do artysty. Spotykałem go już bardzo rzadko — przelotnie.

Wreszcie przyszła wojna światowa, która głęboko wstrząsnęła życiem grodu naszego i wygnała z Wilna całe zastępy ludzi, którzy nie odważyli się, czy z innych powodów nie chcieli dzielić niepewnych losów miasta, gdy zbliżały się doń zastępy wojsk niemieckich. A w wyniku wojny powstały nowe warunki życia dla Wilna i Wilnian, które jednych postawiły w rzędzie władców naszego kraju, innych zaś zaliczyły do helotów we własnej ojczyźnie... Ruszczyca znalazł się wśród pierwszych; ja — wśród drugich. Rozwarła się między nami przepaść, która coraz bardziej się pogłębiała. Nasze stosunki ostatecznie się urwały.

Antoni Łuckiewicz.

Praca ta wykazuje jak często historyk — medjawiści — umie być wprowadzony w błąd, w średniowieczu bowiem posługiwano się w walce politycznej fałszerstwem dokumentów jako bronią dość powszechną. Poza to wykazanie fałszyfikatów przyczynia się do stwierdzenia fałszywej i podwójnej gry politycznej Zakonu Krzyżackiego i biskupa Rygi wobec Mendoga i Kurji papieskiej, których starano się nieraz zasugerować rzekomo niespożytemi wobec chrześcijaństwa zasługami, co niezawsze odpowiadało prawdzie.

Drugim artykułem jest studjum Józefa Puzyry p. t. „Korjat i Korjatowicze oraz sprawa podolska” stanowiące uzupełnienie i poprawki do rozprawy pod tym samym tytułem, ogłoszonej w VII roczniku „Ateneum” w r. 1931.

Prof. Kazimierz Tymieniecki w artykule p. t. „Wyprawy feodalne w Polsce i na Litwie” dorzuca kilka dalszych uwag do dyskusji w sprawie feudalizmu na Litwie, odbytej na VI Powszechnym Zjeździe Historyków polskich w Wilnie. Punktem wyjścia zarówno dyskusji jak artykułu jest rozróżnianie dwu rodzajów feudalizmu: samorodnego, zwanego inaczej socjologicznym oraz występującego w krajach takich jak Litwa a również Polska, pochodzącego z recepcji i wykazującego w ustroju państwowym raczej tylko pewne urządzenia feodalne. Interesujący się bliżej tą kwestją mają możliwość zaznajomienia się zarówno z cytowanym artykułem, jak i z obszernym protokołem dyskusji, wydrukowanym w II-im tomie „Pamiętników” Zjazdu.

W omawianym tomie „Ateneum” znajduje się również dokończenie rozprawy Marji Baryczowej, rozpoczętej w roczniku poprzednim, p. t. „Augustyn Rotundus Mielecki, wójt wileński, pierwszy historyk i apologeta Litwy”. Interesujące szczegóły biograficzne tej niewątpliwie jednej z ciekawych postaci swego czasu, wydobyte przez autorkę, wykazują niemałą wobec Litwy zasługę Rotundusa, który aczkolwiek był przybyszem z Polski, potrafił nietylko ukochać sercem swoją przybraną ojczyznę, ale i żyć się z otoczeniem tak dalece, że nawet na urzędowym stanowisku wójta Wilna potrafił być wielce pożytecznym. Inne czasy, inni ludzie... W dziedzinie kulturalnej najważniejszą zasługą Rotundusa jest próba skreślenia historii Litwy, która przed nim posiadała w tej dziedzinie tylko latopisy, kroniki na poziomie nprz. kronik polskich wieku XIII. Według wywodów autorki Mieleckiemu przypisać należy autorstwo słynnej „Rozmowy Polaka z Litwinem”, będącej odpowiedzią i obroną Litwy na nieprzemyślane wywody polityczne Orzechowskiego w jego osławionym „Quincunxie”.

Jeśli chodzi o kwestję pochodzenia Rotundusa, przyznać trzeba, że argumenty autorki bardziej przekonują, niż naprzykład dość zawile wywody Łappy, który w swej obszernej pracy w języku rosyjskim o Statucie Litewskim 1588 r. za wszelką cenę gotów jest widzieć w Mieleckim Niemca, Włocha, kogobądź wreszcie, byle nie Polaka. Żałować należy, że autorka nie знаła dzieła Łappy, miałaby bowiem możliwość poczynić na temat znakomitego wójta wileńskiego, pisarza i jurysty w jednej osobie umotywowane dokumentami sprostowania tej dość tendencyjnej pracy Łappy.

Bardzo interesujące wiadomości o wpływach kultury wileńskiej na Lwów w początkach XIX wieku przynosi artykuł Łukasza Kurdybachy. Autor wydobywa jeden z najbardziej charakterystycznych rysów kulturalnych Wilna I-ej połowy zeszłego wieku, mia-

nowicie owo promieniowanie — dzięki Uniwersytetowi — na pozostałe dzielnice dawnej Rzeczypospolitej. Z pracy p. K. dowiadujemy się jak to płodne ziarno kultury wileńskiej wydały na gruncie lwowskim bogate plony. Obudziły z kulturalnego letargu społeczeństwo lwowskie, wskazały na możliwość twórczej pracy literacko-naukowej, dopomogły do przejawienia się inicjatywy społecznej, dopomogły zorganizować pierwsze we Lwowie czasopismo.

Poza wymienionymi większymi rozprawami znajduje się w ostatnim roczniku „Ateneum” 12 drobniejszych artykułów, obejmujących dział miscellaneów i materiałów.

Na wzmiankę zasługują dwie prace bibliograficzne, mianowicie „Bibliografia historii Ziem b. W. X. Litewskiego za rok 1935”, opracowana przez dr. Stefana Burhardta, oraz „Bibliografia Uniwersytetu Wileńskiego za lata 1933 — 1935” pióra dr. Michała Ambrosa.

Pożytecznym działem w „Ateneum” jest „Kronika” wileńskiego ruchu kulturalnego, działalności instytucji naukowych i kulturalno-społecznych, wyszczególniająca artykuły z periodyków i prasy codziennej, dotyczących przeszłości naszego kraju. Kronikę tę opracowuje Witold Nowodworski.

Oprócz tego dużą część ostatniego Roczника „Ateneum” zajmują recenzje i sprawozdania, w których omówiono przeszło pół setki dzieł, odnoszących się przeważnie do historii b. W. Księstwa Litewskiego. Tom zamykają nekrologi zmarłych w roku ubiegłym historyków polskich.

Zaznaczyliśmy w niniejszym artykule sprawozdawczym tylko pobieżnie rzeczy najważniejsze. Na zakończenie wypada bezstronnie orzec, że bezpośrednie zetknięcie się z ostatnim tomem „Ateneum” każdemu, interesującemu się przeszłością, sprawi wiele satysfakcji. Rocznik ten wart jest zaznajomienia się z nim.

Ski.

Odkrycie Ameryki.

Trzeba zabawić się w odkrywcę Ameryki i pompatycznie rozstrzygnąć tajemnicę *dobrych rządów*. Ludzie skłonni do usłyszenia rzeczy wielkich, otworzą naraście uszy i w skupieniu ducha usłyszą:

Tajemnicą dobrego rządzenia są właściwi ludzie na właściwych miejscach. Oto prawda wielka, ale częstokroć stosowana maluczko.

Efekty złych rządów nie wykazują się odrazu. Dopiero historia ustala prawie namacalnie, że taki a taki działacz, funkcjonujący w imieniu państwa, nawet mimo dobrych chęci, źle się przysłużył ojczyźnie.

Jednym z licznych błędów, jaki popełniła Rosja w ubiegłym wieku, było uprawianie polityki murawjewowskiej w naszym kraju. Kraj ten, zamieszkały przez Białorusinów, Litwinów, Polaków, Rosjan i Żydów, wedle wskazań owej polityki, miał być doprowadzony pod jeden strychulec. Poczęto gnębić te narodowości, które ujawniały jakąkolwiek aktywność narodową. Zakazywano surowo stowarzyszeń o aspiracjach narodowych. Tłumiono nauczanie w języku ojczystym. Sprowadzono tutaj sztucznie element rosyjski i z Peterburga i z Moskwy i z Kaługi i ze wszęch stron olbrzymiej Rosji. Również sztucznie osiedlano tutaj kolonistów z centralnych gubernij. Starano się nadać krajowi fizjonomję rosyjską pod wzglę-

dem zewnętrznym i gwałtem wsączać w duszę młodzieży miejscowej kult dla wielkiej rosyjskiej ojczyzny.

Pięćdziesiąt lat z górą trwał taki kurs polityczny, mający na celu zruszczyć kraj tutejszy. Dzisiaj widzimy, jak nieudolną była ta polityka represyj i przymusu z punktu widzenia tych właśnie celów, do których dążyła Rosja. Akcja mniejszych lub większych satrapów, starających się wynarodowić żywiol miejscowy, wywołała skutek wprost przeciwny.

Element polski, najwięcej aktywny politycznie, pod wpływem prześladowania polskości, wszedł w podziemia konspiracyjne, wytworzył swego rodzaju katakumby duchowe, gdzie patriotyzm polski jarzył się najgorętszym płomieniem. Dekrety antypolskie dolewały stale oliwy do tego ognia. Teraz z perspektywy możemy stwierdzić, że wobec Polaków Murawjew zasłużył na wdzięczność, albowiem on, mimo swej woli a nawet wbrew swoim zamiarom, podniecał i konserwował patriotyzm polski.

Lud litewski na prześladowania rosyjskie zareagował w sposób swoisty i sobie właściwy — zamknął się w sobie, nieufnie spoglądał na władze rosyjskie, mało demonstrował, lecz trzymał się zawzięcie swego państwa, chroniąc własny język i obyczaje.

Najmniej była odporna na dążenia rusyfikacyjne masa białoruska, w znacznym stopniu wskutek braku uświadomienia narodowego. Nie było czynnika, któryby ją zmuszał do oporu i do organizowania się w zastępy, wrocie rządowi. Ruch białoruski narodził się powoli i nabrał mocy dopiero wtedy, gdy zwróciły nań uwagę siły gnębiące, maltretujące czynniki naturalnego rozwoju. Działacze białoruscy dzisiaj powinni pragnąć, aby zastosowano względem nich politykę represyj ściśle na wzór Murawjewa. Wówczas mogą być pewni, że ich dzieci będą oglądały na własne oczy rozkwit własnej ojczyzny...

No, czy nie odkrycie Ameryki?... A jednak są ludzie, zajmujący wybitne stanowiska, którzy nic nie wiedzą o istnieniu tego, już dawno odkrytego łądu. Może nawet nie wiedzą, że ziemia jest okrągła. A już napewno nie wiedzą, że działalność Murawjewa była fatalna dla interesów państwowych rosyjskich. Wskutek tej ignorancji, posunięcia ich wywierają natychmiast lub też muszą wyrzucić później skutek przeciwny ich zamierzeniom.

Korektor

Najnowszy przewodnik po Wilnie.

U schyłku r. ub. ukazał się wreszcie długo zapowiadany przewodnik krajoznawczy *Wilno*, będący trzecim a poprawionym pozgonie autora wydaniem pracy prof. J. Kłosa. Jest to wydawnictwo Wileńskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, uskutecznione przy pomocy zasiłku Związku Propagandy Turystycznej Z. Wileńskiej. Słowem niejednego miał patrona i opiekuna wydany ostatnio przewodnik, co pozwala też postawić mu wymagania odpowiednie. Gdy pierwsze dwa jego wydania były wybitnie zabarwione niespokojnym a niepozbawionym złośliwości temperamentem autora, trzecie pozgonne winno być już było odznaczać się większym spokojem a obiektywizmem. Jak z tem jest, zobaczymy nieco niżej.

Nowością w przewodniku po Wilnie jest poprzedzający go artykuł p. Bułhaka „Przewodnik po duszach ludzkich”. Pomysł takiego przewodnika po duszach wileńskich jest wcale dobry, acz Wilno tym

czasem nie posiada jeszcze ani swego Boya, ani Nowaczyńskiego, ani Or-Ota. Duże usterki faktyczne, rzadka w tego rodzaju publikacjach tendencyjność, posuwająca się tu i ówdzie aż do złośliwości wyraźnej, cechowały dwa pierwsze wydania przewodnika Kłosa, o których Bułhak pisze z emfazą: „Wszyscy (sic) czują dość potrzebę wrócić do niej (książki) w trzecim wydaniu”. Ponadto mistrz fotografii wileńskiej gorzko się uskarża, że „wzorowa, piękna polszczyzna („Przewodnika Kłosa)... nie została... oceniona dotychczas należycie”.

Przejdźmy teraz do *wstępu*, zapewne pióra prof. Kłosa, zresztą *ex unguibus disce leonem*. „Zasadniczy ten pierwiastek ducha polskiego (entuzjazm), źródło wiekiście czynów Grunwaldu i odsieczy wiedeńskiej, konstytucji 3 maja i „cudu nad Wisłą”, znalazł najpełniejsze swe wcielenie w charakterze Wilna...” Hm!... Operując wciąż tą historyczno-mistyczną mgiełką, istotnie można znaleźć w Wilnie wszystko, co jest w tej chwili komu potrzeba... Dlatego nie zdziwi już nas „ten uderzający każdego znawcę (?) nawskroś polski charakter architektury wileńskiej”. Rezygnujemy bez żalu z wszelkich pretensyj do tytułu takiego znawstwa. Widać jednak z tem znawstwem nie czuje się całkiem dobrze i sam autor wywodów przedhistorycznych Wilna, skoro dalej pisze: „Drogą wojen i napadów litewskich na Polskę oraz, być może, dobrowolnego osadnictwa element polski osiedla się na ziemiach, podległych władzy książąt litewskich. O najważniejszej liczbie Polaków w XIV w. świadczy przekazana przez Długosza *wersja* o 24.000 jeńców polskich...” Kruche są dowody historyczne, których poszczególne ogniwa spięte są takim *być może* lub *wersją*, co wyraźnie dopuszcza już współlistnienie *wersyj* innych.

Znany zatarg bpa wil. Konst. Brzostowskiego z woj. wil. Kaz. Sapiehą przedstawiony jest fantastycznie, przesadnie, a bałamutnie: sankcje kanoniczne nie mogły posunąć się tak daleko. Również stan rzeczy w Wilnie po r. 1853 podany jest wiecowo a nieprawdopodobnie. Przed Ostrą Bramą lud w litani loretąńskiej nigdy nie powtarzał wówczas łacińskiego *Ora pro nobiss*. Za czasów Murawjewa nie wzniesiono w Wilnie *żadnych* nowych cerkwi o typie czysto moskiewskim, odbudowano tylko dawne, stojące wtedy w ruinie, lub sterczące z fundamentów i nadawano im wygląd swoisty. Nieprawdą jest, że „budowle prywatne także musiały (sic) dostosować się do tego programu krańcową rosyjskością swych fasad”. Może jaki lizus jeden, drugi uczynił coś podobnego, nigdy nie szedł na to ogół.

O rzetelności historycznej autora „Przewodnika” świadczy dalej twierdzenie, że przed wojną istniał u nas zaledwie nikły „ruch separatystyczny litewski t. zw. litwománów” i że do okupacji Litwy przez Niemców, współzycie Polaków z Litwinami było prawdziwie sąsiedzkie! Komu potrzebne są takie bujdy, wypisywane przez tych, co nie mają zgoła pojęcia o Wilnie przedwojennem i stosunkach krajowych! Wierutny fałsz, że Litwa, władając Wilnem w r. 1920 przez niespełna dwa miesiące, „rozpoczęła (tu) wobec Polaków politykę eksterminacyjną”. Ależ nic podobnego! Było wręcz przeciwnie, bo ówczesne rządy litewskie w Wilnie cechowała właśnie niepewność, niezdecydowanie i brak wiary, że tym razem utrzymają się w Wilnie.

Mówiąc o kapitalnej restauracji kośc. św. Anny w latach 1902—1904, prof. Kłós przypisuje zniszczenie wnętrza tego kościoła przez jakiś bliżej nieokre-

ślony co do daty pożar. Ciekawi jesteśmy, na jakiej podstawie kościół św. Jerzego został zaliczony przezeń do „wyrafinowanych dzieł późnej sztuki gotyckiej”. — Kwitnący barok ma być „epoką silnych charakterów”. Mógł być nią w krajach Zachodu, lecz nie u nas, gdzie zawsze a żywo się odczuwa właśnie brak silnych charakterów. — Kochać Wilno i życzyć mu rozkwitu urbanistycznego, jeszcze nie znaczy uważać je i wszystko, co w nim jest, za bezkonkurencyjny unikat „w całej Europie!” Powoli, panowie! Niezdrowa a przesadna reklama już niejedną wyrządziła Wilnu szkodę.

Kościół św. Kazimierza czasu wojny światowej był *nie* przez dwa, lecz przez trzy z okładem lata garnizonową protestancką kirką. — Na planie murów pobazylijskich w Wilnie mylnie jest podana boczna ciepła cerkiew zimowa, jako zakryta. Bazylijanie mieli tu pozostawać „aż do kasaty zakonu w 1827 r.”, co zupełnie nie zgodne jest ze stanem faktycznym, bo zakon św. Bazylego Wielkiego nigdy karaniu nie uległ. Jeśli piszący chciał tu powiedzieć, jak długo klasztor był w ręku bazylijanów gr.-katolickich, to należało tu chyba podać r. 1839. Wreszcie bazylijanie nie byli eremitami, jak np. kameduli i in., i przeciwne przypuszczenie Kłosa wymagałoby jeszcze uzasadnienia. Pierwotny kształt „celi Konrada” jest tylko pobożnym przypuszczeniem.

Są w książce niedopatrzona nawet komiczna. Oto kościół św. Stefana „posiada jedną tylko nawę boczną (południową)”. Rozkoszna łamigłówka! Bo gdzie tedy podziła się nawa główna, czyli środkowa? a gdzie północna?... Ścisłość wymaga też zaznaczyć, że więzienie Stefańskie mieści się już w wzniesionym przez Rosjan nowym budynku, a w dawnej oficynie poklasztornej mieszka dziś niższy personel więzienny. Wśród grobów zasłużonych na skasowanym cmentarzu Stefańskim pominięte są mogiły prof. inż. wil. Andrzeja Matuszewicza, pomocnika dyrektora obserwatorium wileńskiego Michała Hłuszniewicza i wielu innych.

Może najcenniejszą inowacją świeżo wydanego „Przewodnika” jest pełne pietyzmu potraktowanie głównego cmentarza Rossa, a to na podstawie nader gruntownych badań „miasta umarłych” przez niezmordowanego na tem polu pracownika p. Wacława Wejtkę, który sam sporządził tak plan cmentarza na Rosie, jak też spisy porządkowy i alfabetyczny najważniejszych grobów na Rosie. Praca ta wykonana jest tak sumiennie a przejrzyście, że może oddać zwiędzającym Rosję nieocenione usługi.

Kwestjonujemy, że cerkiew Preczystenska została zbudowana cała od fundamentów na nowo, lub po zburzeniu istniejącej tu dawniej cerkwi. Wystarczy rzut oka w jej wnętrzu na partje murów poza ikonostasem, by narzucił się nam z całą siłą pogląd wręcz przeciwny. Prof. Kłos nie wiedział, że już kawał czasu, jak bodaj $\frac{3}{4}$ pałacu Honestich przeszło w ręce T-wa „Przyszłość” — Przy omawianiu kościół św. Bartłomieja, należało słówko powiedzieć o ciekawej kamieniczce, kryjącej się w głębi tutejszego ogrodu, a okazującej w pełni swą malowniczą bryłę od strony Wilenki.

Mniej więcej tyle nieścisłości nasunęło się po przejściu „Przewodnika” Kłosa. Przyszły idealny „Przewodnik” dojdzie do skutku jedynie w drodze obiektywnego informowania czytelników o wszystkim, co było i jest, bez żadnych w tę lub ową stronę rekryminacji.

Wat.

Wystawa, którą warto zwiedzić.

W budynku powystawowym w Bernardynce gości przez maj i czerwiec r. b. II wystawa zbiorowa prac malarskich Czesława Znamierowskiego. Nie wiem, czy jaki inny malarz wileński tak szczęśliwie odnalazł właściwy sobie rodzaj twórczości i tak owocnie w nim pracuje, jak właśnie Cz. Znamierowski. Nie jest nam wcale znana ani nas interesuje narodowość artysty, to jednak jest pewne a oczywiste, że poznał on, wyczuł, zrozumiał i wystudjował wprost po mistrzowsku krajobraz naszej ziemi, która miłującemu a wdzięcznemu synowi odśloniła wszystkie czary i tajemnice nocy i dnia, brzasków i zmierzchów ziemi i wody, pór dnia i pór roku...

Pędzel naszego malarza jest dziwnie twórczy a płodny, zwłaszcza na jego dość młode lata. Wystawa obecna zajmuje dwie duże i cztery mniejsze sale i zawiera bezmała czterysta prac, szkiców i studjów. Jeśliby skala talentu malarza nie przekraczała rzetelnej poprawności, to bogactwo i pracowitość uzdolnionej ręki artysty budziłyby już należne uznanie. Ale podziw nasz wzmaga się, gdy jesteśmy tu świadkami objawienia się prawdziwej sztuki, tem dla nas bliższej a droższej, że czerpiącej nietylko motywy, lecz i natchnienia malarskie z przyrody ziemi naszej.

W tej bogatej kolekcji znajdujemy mistrzowskie a pełne prawdy zmierzchy dnia o różnych porach roku, przeróżne rodzaje chmur i obłoków, bądź walczących z przedzierającą się przez nie tarczą słońca lub księżyca, bądź napęczniałych deszczem lub ulewą, celujące kompozycją a głęboko nastrojowe motywy jesienne, zimowe i wiosenne, północne wiatry, zbliżające się burze, roztopy deszczowe, śniegi wczesne i ostatnie...

Wolno się domyślać, że piękny nasz Narocz wywarł szczególnie urok na malarzu, to też artysta poświęcił odtworzeniu jego piękna szereg płócien. Wszystkie są rzeczywiście niepospolite, a przepiękny swą niezrównaną grą światła jest nazwane przez twórcę: *Noc księżycowa — Narocz*.

Na wystawie jest ponadto szereg typów wileńskich przeważnie dziadów, naogół dobrze pochwyconych, acz cokolwiek fizycznie już zdegenerowanych, więc mniej się nadających do odtworzenia ręką artysty, więcej zato należących do zakresu medycyny społecznej. Jest kilka nastrojowych wnętrz, portretów pań, jedna pomysłowo ujęta martwa natura z rozkosznym kociątkiem, wynurzającym się z koszyka, obok kwiatów, no i dużo, dużo (Nr. Nr. 103—344) szkiców i studjów.

Wszystkim miłośnikom piękna ziemi naszej radzimy pośpieszyć na wystawę obrazów Cz. Znamierowskiego.

P. Kantryba.

Czwarta konfiskata.

Wszystkie numery wznowionego, po dłuższej chorobie redaktora, „Przeglądu Wileńskiego” ulegają konfiskacie. Nr. 4 również został skonfiskowany. Aż w dwóch artykułach cenzor dopatrzył się występku: w art. „Problem etniczny Polesia” oraz w art. „Nieoczekiwany cios”.

